

Krystyna Kofta

PĘPOWINA

OSOBY:

MATKA

ROZA, jej pielęgniarka

LEON, jej syn

DAWID, jej mąż, ojciec Leona

KUKŁA, dziecko Leonek

Matkę powinna grać aktorka znacznie młodsza niż wskazywałby wiek bohaterki sztuki. Leona i Dawida gra jeden aktor.

AKT I

Scena 1

Duży pokój w willi, otwarte drzwi na taras. W wielkim łóżu siedzi gruba, potężna Matka. Jest silna, witalna i głośnie. Wielkie piersi rozpychają dekolt obszyty pienistymi koronkami. Matka jest wciąż pełną kokieterii kobietą. Na łóżku specjalny pulpit, na którym Matka układa karty. Wróży paląc papierosa. Parzy sobie palce. Popielniczka pełna jest niedopałków.

Matka jest przygłucha, dlatego mówi bardzo głośno, czasami, kiedy się zapala, krzyczy.

MATKA Podróż i ważne spotkanie! Chyba ze świętym Piotrem. *(śmieje się, krzyczy)* Roza! Słyszysz? Podróż!!! *(energicznym ruchem zrzuca karty z pulpitu na podłogę, gasi papierosa)*

Z tarasu wchodzi Roza, przez ramię ma przewieszoną koszulę, także różową, taką samą jaką Matka ma na sobie.

Roza to młoda kobieta; ma około trzydziestu lat, wiejski wygląd, ładną twarz bez makijażu i dobrą figurę ukrytą pod śnieżnobiałym pielęgniarskim fartuchem. Jasne włosy zebrane pod czepeczkiem. Zbiera karty z podłogi, odkłada na stolik przy łóżku, odstawia popielniczkę, zdejmuje pulpit i opiera go o łóżko. Roza mówi dosadnie, z akcentem gwarowym.

ROZA Nigdzie pani nie pojedzie, to jedno wiadomo. Ale koszulę i tak trzeba zmienić. Jest brudna jak święta ziemia.

MATKA Nie, nie! Roza, proszę, jeszcze jest czysta. Świeża bielizna jest taka zimna! Zawsze dostaję od tego dreszczy. Brud grzeje.

Matka broni się przed Rozą, która mimo jej protestów zmienia koszulę, zasłaniając Matkę swoim ciałem przed oczami widzów.

ROZA To prawda, brud grzeje. I pachnie! Faj!

MATKA (*chichocze*) Wiesz, że mam łaskotki!

Roza bierze brudną koszulę w dwa palce i niesie z obrzydzeniem, jak śledzia za ogon. Wynosi za drzwi, wraca. Siada na krześle obok łóżka, bierze ze stosu ułożonego na srebrnym półmisku pomarańczę i zaczyna ją obierać. Matka chłonie tę czynność wygłodniałym wzrokiem, przełyka ślinę. Palce Rozy są wprawne. Dzieli pomarańczę na cząstki i wkłada je Matce do ust. Zza okna słychać dzwonek roweru. Dźwięk jest ostry, dochodzi z bliska.

MATKA (*żując*) Ktoś dzwoni.

ROZA To nikt, to tylko dzieciaki na rowerach.

MATKA Muszą jeździć właśnie pod moim oknem?

ROZA Widocznie muszą. Może włączę telewizor? Powinna pani czymś zająć myśli.

MATKA Już nie mogę na nich patrzeć.

ROZA (*wkłada Matce kolejną cząstkę pomarańczy do ust*) Na których?

MATKA Na żadnych.

ROZA Wszyscy starzy ludzie oglądają.

MATKA Jedno z dwojga, albo nie jestem stara, albo nie jestem człowiekiem.

ROZA Może idzie jakiś film.

MATKA W mojej głowie wciąż idzie film sprzed pół wieku. Nie zagaduj mnie, Roza, wiesz dobrze co masz robić.

ROZA Znowu?

MATKA Od tego nie ma ucieczki. Trzeba próbować aż do skutku.

Roza podchodzi do szafy w ścianie, której przedtem nie było widać i otwiera ją. Szafa jest pełna butów ustawionych na półkach. Od podłogi aż do sufitu.

ROZA Które?

MATKA Przygotuj sportowe półbuty. Są najwygodniejsze do codziennego biegania.

Roza wspina się na palce i sięga parę czarnych półbutów.

MATKA (*śledząc uważnie jej ruchy*) Nie te, widzę, że chcesz mnie wyprawić w ostatnią podróż.

ROZA (*mówi niegrzecznie, zniecierpliwiona*) No więc które?

MATKA Oczywiście szare. U was na wsi nosiło się tylko czarne, co? Jesteś u mnie już tyle lat i niczego się nie nauczyłaś! Jakaś ty tępa, Roza.

ROZA Jaka pani taka sługa. (*kłania się uniżenie, z ironią*)

MATKA Jedyna rzecz, której ci nie brakuje to bezczelność.

Roza z hukiem odstawia czarne półbuty, zdejmuje szare, rzuca je obok łóżka. Matki, na łóżko nakłada pulpit, na nim kładzie kocyk, na kocyku buty. Teraz zdejmuje z półki pudełko ze szczotkami i pastami. Wszystkie czynności wykonuje ze złością. Matka zaczyna czyścić buty. Najpierw smaruje je pastą, lekko popluwa i czyści miękką szmatką, w końcu szczotką. Właściwie pięci te buty.

MATKA (*czyszcząc*) Najważniejsze w podróży są wygodne buty. (*popluwa na but*) Te buty wiedzą o moim życiu więcej niż ty, Roza. Nie uwierzysz nigdy; byłam jak fryga. Poruszałam się biegiem.

ROZA (*znów obiera pomarańczę, przygotowuje zapas cząsteczek*) Akurat!! Sratatata!

MATKA Nie wierzysz mi?

ROZA (*wkłada brutalnie cząstkę pomarańczy do ust Matki*) Już nigdy nie uwierzę w nic co pani mówi. (*odwraca się tyłem do Matki i zjada kawałek pomarańczy*)

MATKA (*żując*) Są tacy, dla których bezruch jest błogosławieństwem. Całe życie spędzają leżąc. Znam takich. Ale ja? Pomyśl tylko, Roza, ja, najruchliwsza ze wszystkich kobiet, urodzona wędrowniczka, od dziesięciu lat w łóżku z powodu głupiego paraliżu nóg. To się nazywa ślepy los szczęścia. Na kogo wypadnie, na tego bęc. Bęc i leżysz. Ale to nieważne. Dla mnie liczy się tylko Leon. Dla niego żyję. Załóż mi buty, Roza.

Roza odkrywa nogi Matki i zakłada buty na jej bezwładne stopy.

MATKA Nic nie czuję, ciągle nic, ale to przecież musi kiedyś przejść, jak myślisz, Roza?

ROZA Przecież pani zawsze mówi, że ja nie myślę. *(energicznie porusza stopami Matki, jakby Matka maszerowała krokiem defiladowym, liczy przy tym)* Raz dwa, raz dwa trzy, raz dwa, raz dwa trzy... No i jak?

MATKA Nic i jeszcze raz nic.

ROZA Skończyło się wszystko: łożenie po śmietnikach, zbieranie spleśniałego chleba, udawanie nędzarki, kiedy siedzi się na milionach. Ile pan Leon musiał się wstydu najeść, trudno to sobie wprost wyobrazić! *(przez cały czas porusza stopami Matki w marszu)*

MATKA Lepiej najeść się wstydu niż umrzeć z głodu. Strach przed głodem, to choroba tych co przeszli piekło. *(milknie i oddycha ciężko jakby zmęczyła się chodzeniem)* Dość. Zmęczył mnie ten marsz do nikąd. Zdejmij je i odstaw.

ROZA *(zdejmuje Matce buty i odstawia je na półkę. Chowa także przybory do czyszczenia; po chwili)* Ciekawe co ma wspólnego strach z udawaniem.

MATKA Najpierw trzeba było zmylić ślady, a potem to już weszło w nałóg. Tak. Strach wchodzi w krew, wciąga, i ten świat, którego się brzydzisz, też wciąga... *(wypluwa przeżute błony z pomarańczy, opluwa się)* Pomarańcza to oszukany owoc. Błony i woda nic więcej. Zarabiają na błonach i wodzie.

ROZA Niby to ja jestem ze wsi, ale to pani je jak świnią. *(wyjmuje spod poduszki Matki wielką chustkę i wyciera jej usta. Potem przez chustkę bierze wypluty owoc i wyrzuca go do kosza. Wsuwa chustkę z powrotem pod poduszkę, sięga jednak głębiej i wyjmuje stamtąd plastikowy worek pełen skórek starego chleba)* Matka rzuca się na swój skarb jak łwica, wyszarpuje Rozie worek i przyciska go do siebie.

ROZA Ciekawe co tam jeszcze znajdziemy. *(szpera pod poduszką z drugiej strony, wyjmuje dwa srebrne noże)* No tak, mogłam się domyśleć. Znowu noże! Jeszcze się pani kiedyś skaleczy i co wtedy będzie?

MATKA Wtedy umrę skaleczona. Te noże są tępe. Z trudem można nimi pokroić *(wkłada do ust wielki kawał suchego chleba i gryzie go z chrzęstem)* mięso. Mięso! Królestwo za kawałek mięsa! Ta owocowa dieta mnie zabija. Nie można zaspokoić głodu samą wodą. Ale co ty możesz wiedzieć o głodzie, Roza. *(następny kawał chleba znika w jej ustach)*

ROZA Nie tak żarłocznie, jeszcze się pani udławi i będę miała nieprzyjemności, że nie dopilnowałam. Mówi pani: zmylić ślady. Po co mylić ślady, jak nikt nie szuka.

MATKA Szuka szuka. Oni zawsze szukają. A nawet jak nie szukają, to znajdują. Roza, kochana moja, mam do ciebie małą prośbę, wiesz, jak cię lubię, daj mi kieliszek wiśniówki, taka jestem dzisiaj niespokojna...

ROZA Najpierw proszę oddać ten chleb.

Matka szybko wkłada następny kawał do ust, a jeszcze jeden bierze na zapas, chowa go pod poduszkę, wydaje się jej, że robi to niepostrzeżenie, potem ociągając się, podaje worek Rozie.

MATKA Ale dasz kieliszek?

Roza z workiem idzie do kredensu, kładzie worek na blacie a z szafki wyjmuje butelkę nalewki wiśniowej.

ROZA *(opierając się o kredens)* Jest pani na mnie skazana, no nie? Przez to głupie udawanie już pani zapomniła, kim pani jest. Poznałam dobrze te wszystkie kłamstwa. W poniedziałki: ani kropli obcej krwi – Bóg i ojczyzna, we wtorki, jak to pani mówi? Aha, już wiem, genialna mieszanina *(przedrzeźnia starą)*, w święta państwowe ateistka, a w niedzielę, hospody pomyłuj! *(składa ręce i wykonuje głębokie skłony)* I jeszcze jedno pani powiem, to jeden wielki fałsz, po co pani udaje przede mną po tylu latach?

MATKA Miałam już lepszych przyjaciół niż ty, Roza, a jednak mnie wydali, lepiej nic nie wiedzieć, jak przyjdzie co do czego, lepiej mieć zamęt. Udawanie to nie fałsz, to przywilej ludzki. To gra. Zwierzęta nie grają. Widziałas kiedy, żeby świnią

grała zyrąfę? Każdy udaje. Nawet ty, Roza, zwykła wiejska dziewczyna też musisz udawać. No, Roza, napij się ze mną. Za udawanie!

ROZA (*nalewa i podaje Matce kieliszek*) Ja nie piję.

MATKA Wiśniówka to najlepszy owoc, same witaminy.

Śmieją się obie. Roza zjada pomarańczę. Matka ma śmiech tubalny, Roza trochę piskliwy.

ROZA Mówi pani, że ja udaję. Jak mam nie udawać, kiedy nawet imię mi pani zmieniała.

MATKA Mieliliśmy przed wojną służącą Rozę, to się przyzwyczaiłam do tego imienia.

ROZA Czterdzieści pięć lat to dość czasu, żeby się odzwyczaić.

Matka wypija ostatni łyk wiśniówki, chce coś powiedzieć, krztusi się. Roza wali ją z całej siły w plecy. Matka łapie powietrze. Uspokaja się. Roza bierze z jej ręki kieliszek. Matka patrzy błagalnie, wyciąga rękę gestem żebraczki.

ROZA O proszę, udawać żebraczkę, to pani potrafi jak nikt. (*nalewa następny kieliszek i daje Matce, potem siada na krześle z rękami na kolanach i słucha spokojnie*)

MATKA Udawanie nędzy! Czy myślisz, że to przyjemność chodzić w podartych szmatach i wdychać zgniły smród śmietników? (*siorbie z kieliszka*) A może to według ciebie rozkosz grzebać żelaznym prętem i trafić na rozkładającego się szczura? Aaach, szczur był przynajmniej martwy. A ludzie dookoła mnie? To były właśnie szczury z całego miasta. Ale co było robić, musiałam ratować Leona. Nie miałam ochoty gnić w więzieniu, a Leon z pewnością by tego nie przeżył. Jest delikatny, jak każdy prawdziwy artysta... (*zamyka oczy. Milknie nagle. Zapada w drzemkę, pochrapuje*)

Roza wstaje z krzesła i zaczyna przemierzać pokój, tak, jakby liczyła kroki. Podchodzi do drzwi tarasu, wraca do krzesła, potem idzie w przeciwnym kierunku, okrąża pokój, krąży jak zwierzę zamknięte w klatce.

MATKA (*otwiera oczy tak samo nagle jak je zamknęła, krzyczy*) Przestań chodzić Roza! Czy nie rozumiesz, że każdy twój niepotrzebny krok mnie boli?

ROZA (*ciężko siada na krześle*) Myślałam, że pani wreszcie zasnęła na dobre.

MATKA Co to znaczy „na dobre”? Zasnęła? Ja nie wiem co to sen. Od dawna znam już tylko drzemki. Nauczyłam się nie spać. Sen zabija czujność i przynosi śmierć. Nie mogłam spać, ratując Leonka. Ptaki ze swoją czujnością mogą się schować... Żebyś ty wiedziała, Roza, jak ja się męczę, jak ja się męczę... A umierać nie chcę, czy to nie jest dziwne?

ROZA A co w tym dziwnego? Jak coś ucieka, to się to łapie, nie? Choremu ucieka życie, to je łapie. Proste.

MATKA Dla ciebie wszystko jest proste. Według mnie to zwierzę, co jest w człowieku, chce żyć za wszelką cenę. Za życie upokorzysz się, splugawisz, zrobisz każde świństwo. I to jest słuszne, życie jest tyle właśnie warte. Tam, wtedy... To nie człowiek był we mnie, to nie człowiek wydrapywał pazurami z zamarzniętej ziemi korzenie, to było zwierzę, które jest ponad człowiekiem. Nie dasz mu zapanować – zginiesz... O Boże, kiedy o tym myślę, znów mi się chce jeść. Mięsa! Dajcie mi mięsa!

Roza daje Matce kawałek pomarańczy.

MATKA Podaj mi kuferek, Roza, to jedyne, co przynosi mi ulgę.

ROZA Dziwne, że ulgę przynosi pani to, co najgorsze.

MATKA Mnie samą wszystko dziwi, i nic mnie już nie dziwi w tym zdziwieniu.

ROZA Całkiem w głowie pomieszane, powinna pani uciekać, gdzie pieprz rośnie od tych wspomnień. Puszczę pani film. (*puszcza film na video*)

Słychać strzały z karabinu maszynowego, krzyki ludzkie, znów strzały. Matka zatyka uszy dłońmi, chowa się pod kołdrę. Roza wylacza dźwięk, zostawia obraz.

MATKA (*wychyla się spod kołdry, zaczyna mówić do Rozy, która śledzi sceny na ekranie*) Ja już byłam tam gdzie pieprz rośnie. Byłam tam i widziałam całe pola pieprzu, czułam ten piękny gorzki zapach. Nie ucieknę nigdzie. Masz rację, to był najgorszy okres mojego życia. Ale życia, rozumiesz? Życia!!! Słyszysz? Nie gap się na te głupie obrazki.

ROZA Trudno nie słyszeć, słyszą wszyscy w całej okolicy. *(znów wpatruje się w ekran)*
MATKA Niech słyszą. Niech wiedzą, co mnie obchodzi ta hołota. Wtedy naprawdę żyłam, a teraz, nawet gdyby mnie uleczył ten znany cudotwórca, co to dotyka ręką i uzdrowia, też bym nie wstała, choć niczego tak nie pragnę, jak przejść parę kroków, ale zapuściłam już korzenie w łóżku i tak jest z różnych względów lepiej... Daj wreszcie ten kuferek.

ROZA Pewno, że lepiej. Lenistwo dla leniucha zawsze lepsze niż praca.

Roza wydobywa spod łóżka kuferek, brudny, rozpadający się tekturowy kuferek. Przeciera go szmatką. Kładzie na pulpicie. Wszystkie czynności Rozy mają charakter rytuału, widać, że w ciągu tych lat przy Matce powtarzały się setki razy. Wykonując je Roza zerka na ekran telewizyjny. Matka przyciska do piersi kuferek, jakby to było dziecko, które nie chce zasnąć. Po chwili otwiera kuferek i wyciąga z niego jakąś zszarzałą, niegdyś białą koszulkę dziecięcą. Przyciska ją najpierw do piersi a potem do ust.

MATKA Och, to jest koszulka, w której Leonek był chrzczony. Boże mój, żebyś widziała! Pod osłoną nocy, ksiądz w przebraniu komisarza albo odwrotnie, ale to dla ciebie nieważne, ty wolisz oglądać sieczkę karabinową... Gdyby ktoś nas wtedy wydał... Nie nie. Lepiej o tym nie myśleć...

ROZA *(zanosi się cichym śmiechem, patrząc na ekran)* Pewnie, że lepiej.

MATKA Tak się tylko mówi, kiedy się o czymś za dużo myśli. Gdyby to się wydało: śmierć albo wywózka w głąb.

ROZA Niech pani patrzy, niech pani patrzy. Teraz go rozstrzelają.

MATKA *(ogłąda koszulkę pod światło, znajduje w niej dziurę, podaje Rozie)* Zaceruj to, Roza. Słyszysz? Zaceruj, zgłupiejesz do reszty.

ROZA O, już leży. Po nim. *(bierze od Matki koszulkę, sięga po przybory do szycia i zaczyna spokojnie cerować, patrząc od czasu do czasu na ekran)*

MATKA Stamtąd już nie ma powrotu. Stamtąd gdzie ja byłam.

ROZA No to jak pani wróciła? Przecież podobno pani tam była.

MATKA Tak. Byłam tam. I to nie podobno, ale z całą okrutną pewnością. Stamtąd nie ma powrotu, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto wróci skądś, skąd nie ma powrotu. *(wyciąga z kuferka czapeczkę, mówi miękko prawie tklawie)* Popatrz jaka słodka czapeczka, sama ją zrobiłam na drutach wystruganych z gałązek przez jednego Ukraińca, pamiętam dobrze skąd miałam wełnę: sprułam wełniane skarpety Dawida, wtedy kiedy nie wrócił... Opowiadałam ci o tym...

ROZA *(patrząc na ekran)* Milion razy.

MATKA Co to był za głupiec ten Dawid, mimo wybitnej inteligencji... Popatrz na jego portret.

Roza unosi głowę i patrzy na wielki portret wiszący nad łóżkiem. Jest to zdjęcie powiększone do naturalnych wymiarów człowieka, oprawione w złotą ramę o owalnym kształcie. Na zdjęciu mężczyzna w okularach, czapce z daszkiem i w pumpach, stoi oparty o rower, jak przed wyjazdem na piknik. Stoi trochę bokiem, tak, że widać mały plecak na plecach.

ROZA Moim zdaniem pan Dawid wyglądał bardzo mądrze w tych okularach. Pan Leon jest do niego bardzo podobny. *(znów zaczyna się śmiać)*

MATKA Co w tym śmiesznego, że syn jest podobny do ojca?

ROZA Szkoda, że pani nie patrzy, mówię pani, ale orła wywinął!

MATKA Co za słownictwo! Orzeł dla nas to świętość. Orła wywinął! Nawet nie wiem, co to znaczy. Czy ty nigdy nie nauczysz się kulturalnie mówić, Roza?

ROZA Teraz, pani spojrz co będzie... Ja przecież słucham co pani mówi.

MATKA *(w zamyśleniu)* Tak, Leon ma jego twarz, ale moje włosy, jego głos, ale mój temperament. Czasami jak Leon się odezwie, to jakbym słyszała Dawida, może dlatego jest wciąż obecny. Tak, jakbym miała ich obu. Och ten Dawid! Inteligencja w siódmym pokoleniu! Zawsze tym się przechwalał. *(zaczyna przedrzeźniać Dawida)* I tak nie mam nic lepszego do roboty, to pójdę zwiedzić grób Tamerlana, nie należy zaniedbać żadnej okazji, żeby się czegoś dowiedzieć. *(dalej mówi już normalnie)* No i jak taki człowiek mógł ocaleć?

Roza ceruje następną dziurkę, patrzy na ekran, jednak zdaje się pochłonięta myślami.

MATKA Słuchasz mnie? Wyłącz to pudło. Masz mnie słuchać. Po to tu jesteś, za to także ci płacę.

Roza wstaje, wyłącza telewizor, wraca, siada, patrzy na Matkę z nienawiścią.

MATKA Czy Dawid mógł ocaleć? Pytam? Czy mógł ocaleć? Był skazany na śmierć, tak samo jak cała ta jego familia. Pomyśl tylko: w pumpach i w czapce z daszkiem, tam u nich! Ale to nieważne. Najważniejsze, że Leon miał ciepło w uszy. To była bardzo dobra wełna, miękka, mieszana z angorską i owczą, dlatego Leonek nigdy nie miał zapalenia ucha, a wiesz czym są uszy dla Leona! *(podaje Rozie czapkę)*

Roza wacha ją, krzywi się i oddaje Matce razem ze złożoną, pocerowaną koszulką. Matka chowa obie rzeczy do kuferka.

ROZA Trzeba raz uprać te szmaty, z pewnością są w nich stuletnie wszy i mole.

MATKA Uważaj co mówisz. To nie są szmaty, to ubranka małego Leonka. Nie wolno ci ich prać, bo się rozpadną.

ROZA Najwyższy czas. Po pół wieku każde ubranko staje się szmatą. Wstyd. Cacka się pani z tym, jak z relikwią po umarłym dziecku, a przecież pan Leon żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Czas zapomnieć o tamtym i spalić te szmaty. Pan Leon skończy niedługo pięćdziesiątkę.

MATKA Owszem. Leon skończy pięćdziesiątkę, ale Leonek ma wciąż cztery latka i wędruje ze mną przez te straszne przestrzenie. Co ty możesz wiedzieć, Roza, o macierzyństwie, o cudownie ocalonym dziecku, ty samotnica z sercem jak kamień.

ROZA *(chowa twarz w dłoniach, płacze cicho i rozpaczliwie. Drżę jej plecy. Mówi płacząc)* Celny strzał, przynaję. Prosto z pani miękkiego serca. Miękkiego jak ochłap tłustej padliny. *(bierze się w końcu w garść. Uspokaja się, ociera oczy fartuchem. Wstaje i zaczyna sprzątać pokój. Trzepie obrus na tarasie, bierze szczotkę z piór do odkurzania i pociągając nosem usuwa pajęczyny)*

MATKA Szczęśliwy kto może płakać, kto ma jeszcze łzy. Ile śmierci widziałaś? Kilka. Może kilkanaście. W szpitalu, w łóżku, luksus, albo jedno przypadkowe morderstwo na ulicy, i to wszystko. A ja? Doliny pełne martwych ciał, góry zwłok, lasy zamrożonych trupów, masz pojęcie? I w tym krajobrazie, mały, czteroletni Leonek, z szeroko otwartymi oczami... A ty płaczesz, bo ci dokuczyłam słowem, zastanów się, Roza, czego ty płaczesz? Jesteś bezpieczna, płacę ci dobrze, siedzisz, jak u pana Boga za piecem.

ROZA *(stoi na stolku i mówi przerywając omiatanie pajęczyn)* Wszystko dobrze, zapomniała pani tylko o jednym. Nikt tu nie wytrzyma dłużej niż pół godziny. *(z zawziętością)* Może nie pamięta pani, co się działo ostatnio kiedy odeszłam! A przedostatnio? *(zeskakuje ze stolka, podchodzi do łóżka ze szczotką w ręce i wymachuje nią wojowniczo nad głową Matki)* Co pani wyprawiała, żebym tylko wróciła? Pan Leon nie mógł znaleźć nikogo na moje miejsce.

MATKA Jesteś dla mnie stworzona, a ja jestem stworzona dla ciebie, tak jak lewa strona jest stworzona dla prawej. Przywiązałam się do ciebie, Roza. Jakby to było dobrze, gdybyśmy wszyscy mogli umrzeć razem: ja, Leon i ty. To byłby prawdziwy raj. *(wyciąga spod poduszki kawał suchego chleba i chrupie go)*

ROZA *(siada na brzegu łóżka)* Osobiście dziękuję za tę wielką łaskę. To co dla jednych jest rajem, dla drugich może być piekłem. Zresztą pani nawet w raju myślałaby o tamtym piekle.

MATKA *(zmęczona osuwa się na poduszki, mówi cicho i miękko)* Ta wieś pod Samarkandą, to ja i Leonek, jeśli zabierzesz mi pamięć, mogę oddać ci swą nieśmiertelność.

ROZA Dziękuję pani. Mam swoją. Po co mi dwie?

MATKA Im więcej, tym lepiej. Taka jest zasada.

ROZA Tak mówią chciwi.

MATKA Roza... Roza...

ROZA Znowu pani czegoś chce. Czuję to.

MATKA Wiesz czego, Roza. Proszę.

ROZA Jak pani nudzi z tymi nogami.

MATKA Przełoż mi nogi, jeszcze tylko raz, ostatni raz dzisiaj, może coś poczuje.

Roza wstaje, odkrywa nogi Matki. Podchodzi do kredensu, wyciąga stamtąd długą, ostrą szpilę, podchodzi z powrotem do łóżka Matki i mocno kłuje ją raz w jedną, raz w drugą stopę.

MATKA Nie, nic. Nic, ciągle nic. Jak przyjdą, nie będę mogła uciekać.

ROZA Ile razy mam powtarzać, że nikt tu nie przyjdzie? Jest spokój. *(porusza stopami Matki, podśpiewuje marszową melodię)*

MATKA Nie daj się oszukać. Tu nigdy nie będzie bezpiecznie, ten przeklęty kawałek ziemi to krwawy strzęp szarpany przez wielkie psy. Urodziłaś się w krótkiej przerwie, Roza, one śpią ale obudzą się. Zawsze się budzą, żeby nieść śmierć...

ROZA *(układa nogi Matki pod kołdrę)* Świat zmadrzał, nikt nie chce ginąć.

MATKA Świat zmadrzał, ale ludzie są głupi. Najgorsza jest uspiona czujność. Ja nie wierzę w mądrość świata. Muszę ćwiczyć ucieczkę. Nie wolno mi stracić czujności.

Matka wychyla się z łóżka, opiera na rękach. Przesuwa dłonie, przesuwając swoje ciało, wlecze za sobą swoje ciężkie, bezwładne nogi. Padają głucho na podłogę. Matka usiłuje czołgać się po podłodze. Robi to z wielkim trudem. Pada. Leży nieruchomo. Twarz przy podłodze. Dyszy ciężko. Podnosi się na rękach i czołga, lub raczej przesuwając dłonie wlokąc za sobą resztę ciała. Roza, siedząc na skraj łóżka, obserwuje wysiłki Matki.

MATKA Jestem silna... Silna... Jestem silna... *(pada)* Przecież jestem bardzo silna, prawda, Roza? *(leży na brzuchu, z rękami wyciągniętymi przed siebie)*

ROZA Tak tak. Jest pani bardzo silna.

MATKA *(unoszą głowę)* Zawsze byłam silna. Czołgaliśmy się godzinami. Sadzałam sobie Leonka na plecach i hajda naprzód. Kiedyś go zgubiłam w śniegu. Trzeba próbować zawsze... Zawsze, aż do końca. *(znów czołga się)* Tak. Do końca.

ROZA Teraz ma pani osiemdziesiąt lat!

MATKA *(zatrzymuje się i mówi gniewnie)* Tylko nie osiemdziesiąt, dobrze?

ROZA Wielka rzecz. Za rok będzie pani miała.

MATKA Twój rok i mój rok, to nie to samo. Zresztą wiek nie gra tu żadnej roli. Widziałam, jak roztrzaskiwali miękkie głowy niemowląt i dusili starców, nie trwało to dłużej niż parę sekund. *(zaczyna się czołgać. Idzie jej coraz lepiej)*

ROZA Czyli i tak zrobią z nami co chcą. *(chodzi za Matką jak sędzia na meczu bokserkim)*

MATKA Nie rozumiesz. Oni tego pragną. Poddania się i bezruchu. A jednak ja żyję i Leon żyje. Można więc ocaleć.

ROZA Tylko przypadkiem.

MATKA O nie. To nie przypadek. Popatrz na mnie. Stary wrak. Bezwładne nogi, ale czołgam się i nie poddam się nigdy. Moje nic nie warto życie też się liczy. *(czołga się z zaciętym uporem)*

ROZA Ja bym się dała zabić.

MATKA To są tylko słowa, tylko słowa... *(dyszy ciężko, wyczerpana śmiertelnie)* Głupie słowa...

ROZA Ta męka! Ta straszna pamięć! Nie mogę już tego słuchać. Można z tym skończyć w jednej chwili... O, proszę! Zawsze zostawiam całą fiolkę, żeby miała pani pod ręką. *(podchodzi do nocnego stolika, bierze fiolkę, niby wysypuje na dłoń jej zawartość, przechyla głowę do tyłu udając, że łyka)* O i już po wszystkim.

MATKA Walkowerem oddać życie? Nie wiesz, co mówisz, dziecko, i nie wiesz do kogo. Ja muszę żyć dla Leona, ja się czuję bohaterką życia, nie poddam się nigdy i nigdy już nie podsuwaj mi tej szatańskiej myśli... Na śmietniku też są bohaterowie. *(mówi leżąc – przewróciła się na wznak, ręce założyła pod głowę, jakby odpoczywała na łące, i patrzy w sufit)* Jeżeli na świecie istnieje grzech to właśnie

ten. *(mówi spokojnie)* Wasze pokolenie żyć nie umie. Fiolka pod ręką i koniec.

Ja leżę, patrzę w sufit a widzę niebo... jest piękne... A na niebie...

ROZA *(ironicznie)* Wiem. Chmury i ptaki.

MATKA Tak, chmury i ptaki. Ironia, złośliwość. Wszystko co nasze bierzecie w cudzysłów, a swojego nie macie nic. Nic.

ROZA Nie możemy mieć nic swojego, bo musimy służyć tym, którzy już dawno powinni odejść.

MATKA Roza! Tego nie wolno ci było powiedzieć. Tego nigdy nie mówiłaś.

ROZA To niech mnie pani wyrzuci. Proszę bardzo. Niech pani powie: wynoś się, Roza, a ja sobie pójdę... Dlaczego pani tego nie mówi? Ja wiem dlaczego. Bo mogłabym odejść, a narodził się nie może istnieć bez tego, na czym rośnie, odcięta zdycha. Pasożyty! Nie dość, że ocalały, gdy inni ginęli, jeszcze się wywyższają, żądają szacunku, opieki, serca. Co za zasługa – ocaleć! Niech pani sobie zapamięta, że nikomu nic się nie należy! Nic. Wy starzy mówicie tak, jakbyście swój los zabijanych wybierali. A przecież to spadło na was tak, jak na nas może spaść! Zasługa żadna. To los. Niczyja wina. Sądzić tych, którzy zabijali, na nich wyroki wydawać, a nie swoim życie zatruwać. Taka jest prawda. *(podchodzi do Matki, bierze ją pod ramiona i usiłuje zawlec na łóżko)*

MATKA *(podejmuje ją pod nogi)* Nie możesz odejść, Roza, musisz zostać przy mnie. Leon nie może się mną zajmować. Jest wielkim artystą, wiesz o tym.

ROZA Tak. Jest wielkim artystą. I bardzo bogatym. Stać go na umieszczenie pani pod dobrą opieką w pensjonacie. Nawet w Szwajcarii.

Matka zaczyna płakać. Roza również pochlipuje, siada obok Matki na podłodze. Matka głaszcze Rozę, przytula ją do piersi.

ROZA Co mnie to obchodzi, że pan Leon jest wielkim artystą! On mnie wcale nie widzi, dla niego obojętne jest, czy widzi samo krzesło czy mnie na tym krześle. Pani też mnie nie szanuje.

MATKA Bądź cierpliwa, Roza. Już niedługo. Nie wiadomo czy to, że żyję, to grzech... Obiecuję ci, Roza, przysięgam, że niedługo umrę. Nie zostawisz mnie? Roza, powiedz, nie zostawisz mnie?

Scena 2

Matka leży na łóżku w bezruchu. Szttywno. Wygląda jak martwa. Roza chodzi po pokoju, przygotowuje coś, małe buteleczki, miseczki, gazę, watę. Ustawia to wszystko na stoliku w pobliżu łóżka. Siada na brzegu i przygląda się Matce. Pochyla się nad nią. Dotyka jej twarzy w różnych miejscach. Bierze puderniczkę i pudruje jasnym pudrem całą twarz a ciemnym policzki. Usta powleka jaskrawą pomadką. Tuszuje rzęsy. W tym momencie słychać zza okna dzwonek roweru. Z bardzo bliska.

MATKA *(siada przerażona, wygląda to tak, jakby ożyła nagle nieboszczka)* O święty krzyżu! Idą po nas!

ROZA No tak. Wszystko rozmazane. Rzęsy do niczego.

MATKA Słyszałam dzwonek.

ROZA To dzieciaki na rowerach. Sto razy dziennie pani to mówię.

MATKA *(trzyma się za serce, oddycha ciężko; po chwili, uspokojona)* Zrób tylko cienie na powiekach.

Roza bierze watkę i ściera rozmazany tusz. Spełnia prośbę Matki, po czym sięga po buteleczkę lakieru do paznokci.

MATKA Nie ten. Ten kolor przypomina krew. Weź cyklamen.

ROZA *(bierze cyklamenowy lakier i maluje Matce paznokcie zerkając jednocześnie na ekran telewizora)* Niech pani spojrzy na tego samuraja. To ten główny. Potrafi ściąć siedem głów naraz.

MATKA *(śmiejąc się)* Pod warunkiem, że ofiary będą równego wzrostu. *(przestaje się śmiać)* Martwię się o Leona. Japończycy to okrutny naród.

ROZA Pociągniemy jeszcze raz rzęsy. Niech pani patrzy w górę. I nie zamykać oczu!
Nie zamykać!

MATKA Powiem ci coś, Roza. Ja wierzę w każde okrucieństwo. Dobroć ma swoje granice, ale okrucieństwo nie zna granic.

ROZA Jeszcze chwilę niech pani siedzi w spokoju. No. Dobrze. *(odchodzi od łóżka i przygląda się Matce z pewnej odległości)*

MATKA Podaj mi lusterko.

ROZA *(podaje jej lusterko w srebrnej oprawie)* Lustreczko, powiesz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie.

MATKA *(ogląda się w lusterku, z profilu i en face)* Jeszcze trochę różu na policzki. Leon lubi, jak mam rumieńce.

Roza rozprowadza róż na policzkach Matki.

MATKA Jak wyglądam?

ROZA Jak bóstwo. Z plemienia Kwakiutłów!

Śmieją się obie.

MATKA Powinien już być.

ROZA Z lotniska jedzie się prawie godzinę. *(bierze flakon perfum i namaszcza Matkę za uszami)*

MATKA Robię się niespokojna. Jest mi gorąco, tak jak wtedy, gdy... Jeszcze dekolt...

ROZA *(wylewa Matce na rękę pół flakonu perfum)* Oj, bo zrobimy zastrzyk. *(wyciąga z kieszeni strzykawkę i igły jednorazowe, sięga po ampułkę. Napętnia strzykawkę i zbliża się do Matki z igłą wycelowaną w starą)*

MATKA *(zastania się, piszczy, chichocze)* Nie, Roza, proszę cię, tylko nie to, już będę grzeczna... No chyba, że w nogę. Spróbuj w nogę.

ROZA W nogę nie. Zastrzyk musi boleć. Zrobimy dziś w pupę. *(usiłuje odstąpić miejsce, w które chce zrobić zastrzyk)*

Matka broni się. Ręce ma silne. Zaczyna się kotłowanie na łóżku. Pół żartem. Pół serio.

ROZA O Boże, pan Leon wrócił! *(szybko doprowadza Matkę do ładu)*

W tym momencie drzwi do pokoju otwierają się i wpada Leon. Około pięćdziesiątki, z imponującą czupryną siwo-czarnych, kręcących się włosów. Ma na sobie frak i koszulę. Wszystko trochę zmięte. Kiedy Leon wchodzi, Roza staje przy oknie tarasowym.

LEON Widzę, że wszystko po staremu. Nareszcie w domu!

Leon ma twarz mężczyzny z portretu, tyle, że bez okularów. W rękę trzyma wielki bukiet róż. W drugiej ręce sakwojaż. Jest mimo zmęczenia bardzo dynamiczny. Wykonuje mnóstwo gestów. Odstawia sakwojaż, podbiega z bukietem do łóżka Matki, przykłada, całuje ją w rękę, ona całuje go we włosy. Rozy Leon zdaje się nie dostrzegać.

LEON Jesteś coraz młodsza. Ilekroć wracam zastaję młodszą matkę. Niedługo będziesz wyglądała jak moja siostra. Widzisz, jak gnałem do ciebie. Nawet się nie przebrałem. *(rzuca bukiet róż na pościel Matki)*

MATKA Leonku, no pokaż się jak wyglądasz. Nic złego cię nie spotkało?

Roza w czasie ich powitania stoi oparta o futrynę drzwi tarasowych i przygląda się tej scenie z nieprzeniknioną twarzą.

LEON *(podbiega do czarnego sakwojażu, unosi go w górę)* Tu jest dla ciebie prezent, ale dostaniesz go dopiero jutro! *(odstawia sakwojaż i wraca do Matki)*

MATKA Właśnie mówiłam Rozie, że Japończycy są okrutni...

LEON *(dopiero teraz spostrzega Rozę)* Ach, Roza, no co u ciebie? Wszystko w porządku? Jak się pani sprawowała?

ROZA A jak się miała sprawować? Jak zwykle. *(wzrusza ramionami, bierze bukiet z pościeli i umieszcza go w wazonie. Wychodzi wynosząc wazon)*

MATKA Opowiadaj synku, co grałeś!

LEON A co mogłem grać! Jak zwykle Chopina.

Wraca Roza z wazonem, do którego nalała wody. Układa róże – bawi się tym.

MATKA A na bis?

LEON Także Chopina.

MATKA Ja też lubię Chopina, ale w domu nigdy go nie grasz.

LEON Muszę się wreszcie przebrać. W domu gram dla przyjemności. *(zdejmuje buty.*

Zostawia je na środku pokoju. Potem ściąga frak i rzuca go Rozie)

Roza łapie frak i wieszka na poręcz krzesła.

MATKA W kółko Skriabin i Skriabin.

Leon zdejmując spodnie, rzuca Rozie. Roza jak wyżej.

LEON W palcach mam Chopina a w sercu Skriabin. *(zdejmuje skarpetki. Zwijając je w kłębuszek. Rzuca pod krzesło)*

MATKA Mój Leonek, mój malutki Leonek!

Roza zbiera wszystkie rzeczy Leona i wynosi z pokoju. Wraca po chwili ze starym dressem. Podaje go Leonowi, który położył się na łóżku obok Matki.

LEON *(przeciąga się)* Dziękuję, Roza. Możesz już pójść do siebie.

ROZA Dziękuję panu.

Leon wkłada na siebie dres. Zrywa się z łóżka, robi kilka przysiadów, potem wykonuje parę gwałtownych ruchów kung-fu.

MATKA *(zanosi się śmiechem)* Co za barbarzyńska gimnastyka. Nie do pomyslenia. Leonku, dość już tego! *(mówi ostro, jak do nieposłusznego dziecka)* Proszę siadać obok mnie. Z igraszek przyjdzie do płaczków.

Leon posłusznie siada na łóżku obok Matki. Zakłada nogę na nogę w taki sposób, żeby mieć łatwy dostęp do palców stopy. Zaczyna między nimi dębać.

MATKA Długie były owacje?

LEON No pewnie, że długie.

MATKA I stojące?

LEON A jak myślisz?

MATKA Sądzę, że uważali, że jesteś cudowny.

LEON *(zaczyna obgryzać paznokcie)* Tak przynajmniej mówili.

MATKA *(pacnęła go po łapie)* A jak jest po japońsku cudowny?

LEON *(obgryza paznokcie przy drugiej dłoni)* Nie mam pojęcia. Japończycy mówią po angielsku.

MATKA Co ty powiesz? Wszyscy? *(znów uderza Leona lekko w rękę)* Przestań obgryzać. Pianistą z poobgryzanymi paznokciami!

LEON Wszyscy. Ściemnia się już. Powinienem się położyć. Jestem bardzo zmęczony.

MATKA To obgryzaj sobie jak chcesz, ale posiedź jeszcze ze mną synku, czuję się taka samotna... Znów nadchodzą ciemności.

Siedzą teraz chwilę w ciemnej ciszy, nasłuchując koncertu świerszcza. Oświetla ich tylko światło księżyca. Słychać wycie psa. Po chwili astmatyczny kaszel, który nagle się urywa. Pod oknem przesunęła się jakaś skulona postać.

MATKA Co tam mignęło? Kto to jest! Wciąż się o ciebie boję.

LEON To nic, to tylko pełnia.

Wycie psa bliżej.

MATKA Na śmierć wyje. *(chwytając Leona za rękę)*

LEON To tylko pełnia. Noc czyni jasną. Psów ujadanie wydaje się groźne. Ale to nic. To nic.

Zaczynają mówić szeptem, intymnie.

MATKA To noc wędrówki, a ja uciec nie mogę.

LEON I tak nie uciekniesz uciekając. Ucieczka jest tym samym co bezruch. *(wysuwając jej rękę ze swojej ręki i głaszcze Matkę po głowie)*

MATKA W takie jasne noce, w te noce wędrówki, uciekałam niosąc cię i chroniąc. Sama siebie chroniłam, ciebie chroniąc. Niebezpieczeństwo było ucieczką. Kroki szybkie i powolne, czołganie, pełzanie pod jaśniejącym niebem, aach Boże, kiedy znalazłam zagon buraków... ten smak, pamiętasz?

LEON *(znów trzyma Matkę za rękę)* To było tak dawno...

MATKA Dawno? Co ty mówisz, to jak wczoraj! Wbiłam zęby w ten twardy, czerwony burak, ty już nawet nie miałeś siły płakać z głodu, twardy i czerwony tak jak oni. *(śmieje się zachrypłym niskim śmiechem)* Wbiłam zęby i jadłam, jadłam jednego

za drugim, ślina mi cieknie na samą myśl o tym, muszę głód oszukać. (*sięga po papierosa, Leon usłużnie zapala go*) Jadłam tak długo, aż szczęki odmówiły mi posłuszeństwa. Leżeliśmy potem długo w zagonie buraków i czułam jak mleko tej nocy rośło mi w piersi. A ty piłeś to czerwone mleko, miałeś już wtedy cztery lata i zęby ostre jak gwoździe, gryzłeś boleśnie, och, mówię ci, możesz mi nie wierzyć, słodki był dla mnie ból twego nasycenia...

Leon zasnął, tak jakby słowa Matki były dla niego kotysanką.

MATKA (*mówi śpiewnie, rytmizując tekst*) I znów droga, a droga to kroki.

Wycie psa, pod oknem znów przesuwa się jakaś zgięta postać; szczekanie żelastwa. Postać z rowerem przemyka się jeszcze raz.

MATKA Śmierć musi być tu gdzieś blisko, Leon, ja to czuję, och Leon, dlaczego my wtedy nie umarliśmy z głodu? Razem? Wtedy powinniśmy byli umrzeć, wtedy ta śmierć byłaby piękna, bo niezasłużona, śmierć dziecka jest zawsze piękna i tkliwa, tak razem, we dwoje, połączeni... A teraz ja się boję, Leo, ja nie przeżyję swojej śmierci, przysięgnij, że mnie nie zostawisz samej, kiedy będę umierała, ja cię ocaliłam, ty mnie ocalić nie możesz, ale nie zostawiaj mnie samej... Przysięgnij! (*tarmosi Leona za czuprynę, budzi go*)

LEON Co, już przyszli po nas?

MATKA Przysięgnij, że mnie nie zostawisz samej, jak będę umierała. Uklęknij!

LEON (*wstaje ociągając się i klęka*) Przysięgam. Dlaczego mi nie wierzysz. Tyle razy ci przysięgałem.

MATKA Tyle razy przysięgałeś, ile razy chciałeś uciec.

LEON (*wstaje gwałtownie, staje nad Matką*) Bo to jest chore! Chore! Niszczysz wszystkich dookoła. Zawsze zatrzymujesz mnie swoim umieraniem. Odkąd pamiętam, zawsze umierałaś, albo ze strachu, albo z życia... zawsze umierałaś...

MATKA Nie mogę umrzeć, póki ty nie będziesz bezpieczny.

LEON A więc będziesz żyła wiecznie.

Wycie psa znów wzmagą się.

MATKA Zła wróżba, zła wróżba. Te psy tam, pamiętasz? Wiecznie głodne szkielety obciążnięte skórą...

LEON Ludzi takich pamiętam.

MATKA Jak one cicho, rozpaczliwie wyły!

LEON Niosło się po tych wielkich przestrzeniach... Tam wszystkiego było miliony.

MATKA Miliony a wśród nich my dwoje, uciekający, tylko my, (*ironicznie*) bo twój ojciec wolał zwiedzać grób Tamerlana.

Za oknem znów kaszel i metaliczne dźwięki łańcuchów.

MATKA Zobacz co tam się dzieje za oknem. Taka noc niespokojna. Pełnia.

LEON (*podchodzi do okna i przegania niewidzialne postacie*) Hej, duchy, demony, zmory, wynoście się stąd, zostawcie moją matkę w spokoju! Precz! No! No! (*wykonuje kilka szybkich ruchów kung-fu*)

MATKA (*śmiejąc się*) Zawsze potrafisz mnie rozbawić. Daj światło na twojego ojca.

LEON Jeszcze ten punkt repertuaru! Daj mu spokój na tamtym świecie. Męczysz nie tylko żywych, ale i umarłych. On ani przez chwilę nie zaznał spokoju, daj mu żyć życiem ducha, posłuchaj jaka cisza. Nawet świerszcze poszły spać.

MATKA Daj na niego światło, proszę. Nie zasnę bez tego. Może to już ostatni raz?

LEON To twój zwyczaj: szantażowanie śmiercią. (*zapala lampę i kieruje światło na portret*)

MATKA Zasłoń okno, bo nas widzą.

LEON (*zasłania okno*) Kto?

Leon i Matka patrzą w milczeniu na portret.

MATKA Sama chciałabym wiedzieć, kto nas teraz obserwuje.

LEON Księżyc. Czy według ciebie nawet on pracuje dla nich?

MATKA Nie kpj. On tylko oświeśla im drogę. Twój ojciec! Tak, twój ojciec, ach ten Dawid! Inteligencja w siódmym pokoleniu psu na budę się zdała. Inteligencja nic nie pomoże, kiedy leżysz pod wojskowym butem. A ten but depcze zawsze najpierw mózgi. Przy całej swej mądrości twój ojciec był durniem, rozumiesz?

Wybrał się obejrzeć grób Tamerlana! Obca, gorąca Samarkanda, on nie zna języka, ubiera się... Wiesz w co? Pamiętasz?

LEON Tak, pamiętam. Miałem już cztery lata.

MATKA Widzisz go? Tak jak na tym zdjęciu. W pumpach i czapce z daszkiem, tam, u nich! W tej dzikiej nędzy; jak panicz na pikniku. O Boże jak ja się śmiałam, jak ja płakałam, kiedy wyruszył w drogę z małym rucksaczkiem na plecach a ja stałam w drzwiach, żegnając go, ty ze mną, trzymałeś się mojej nogi, śmiałeś się, kiedy ja się śmiałam; płakałeś, kiedy ja płakałam. Machaliśmy mu ręką na pożegnanie. Pamiętasz? *(zaczyna machać ręką na pożegnanie. Odgrywa tamtą scenę patrząc na portret. Ociera łzy, które nie płyną)*

LEON *(również macha ręką jak dziecko)* Pamiętam. Dosyć. *(opuszcza abażur)*
Krąg światła obejmuje tylko Matkę w łóżku.

MATKA Ostrzegalam go. Chciał to pojechać. Napijmy się po kieliszku. I rozstańmy się na całą długą noc. Nie masz pojęcia, jaki ten Dawid jest męczący. *(zapala papierosa, zaciąga się głęboko)* Taki sam jak za życia, a może nawet bardziej. Wtedy mogłam nie słuchać jego gadania, a teraz muszę, bo mówi we mnie. Och ten szpieg obcego wywiadu! Kto chodzi w pumpach? Szpieg. Głupota tego inteligenta woła o pomstę do nieba. Niepotrzebnie go ratowałam. Mógł zostać tutaj i poszedłby z dymem z całą tą swoją rodziną. Nigdy mi nie wybaczył, że go uratowałam.

LEON *(podchodzi do okna tarasu, odslania je trochę i patrzy w ciemność)* Musiał zginąć tam gdzie zabijano wszystko, co jest inne. Nie mów już o tym.

MATKA *(gniewnie)* Muszę mówić. Muszę i będę. To jest to moje wieczne umieranie. Nieśmiertelność umierania. Wieczność polega właśnie na nieśmiertelnym umieraniu. Zabiera się ze sobą własną śmierć. Dlatego właśnie nie chcę umrzeć, chociaż moje życie funta klaków niewarte. Życie twojego ojca warte było przynajmniej tyle, ile mój brylant wielkości oka.

LEON *(podchodząc do łóżka Matki)* To szczęście, że znalazł się ktoś, kto chciał wziąć ten martwy kamień za nic niewarte życie. *(stoi nad Matką lecz chciałby odejść)*
Matka czepia się jego ręki. Ciągnie go, żeby usiadł. Leon siada opierając się trochę.

MATKA Dobrze wiesz kto to był. Wysoko zaszedł skurwysyn. Bóg z nim.

LEON Raczej diabeł. To takie prawo. Wszystkie reżimy tych samych wynoszą na piedestał i tych samych zabijają. To bezwzględne prawo. Z obozu śmierci do łagra, z łagra do dziesiątego pawilonu. Przez takie sito mógł przejść tylko ktoś w czepku urodzony. *(pieszczotliwie głaszcze Matkę po włosach)*

MATKA Z pewnością nie Dawid. To urodzony pechowiec. Nie wierzył w ludzkie okrucieństwo. Wciąż się dziwił. *(naśladuje jego głos)* To niepojęte, to po prostu niemożliwe. *(znów normalnie)* Zawsze mówię: tylko dobroć ma swoje granice, okrucieństwo nie ma granic. Ja mu wciąż powtarzałam, żeby... Ale on nigdy, nie...

LEON *(przestaje głaszcze włosy Matki)* Przestań już. Przestań! *(krzyczy)* To było pół wieku temu! Ojciec z pewnością był ci wdzięczny...

MATKA Wdzięczność to morderczyna miłości. Dlatego, że był mi wdzięczny, dlatego wołał dać się zabić. Ja wyrwałam go śmierci, a więc to ja rozdzieliłam go z rodziną. Ocaliłam go a oni zginęli, rozumiesz? Został po nich tylko dym ofiarny. Wdzięczność to morderczyna miłości.

LEON A ty zawsze żadasz wdzięczności. Ode mnie też jej żadasz.

MATKA *(miętko, czule)* Pamiętasz, Leonku, te skóry suchego chleba, które dla ciebie chowałam?

LEON *(podrywa się, chodzi po pokoju jak zwierzę w klatce)* Nie chcę pamiętać. Nic nie pamiętam. Miałem wtedy cztery lata!

Kiedy Leon znajduje się w pobliżu łóżka, Matka podaje mu kawał suchego chleba wyjęty spod poduszki, on bierze chleb jak w hipnozie i zaczyna chrupać. Uspokaja się, chodzi teraz spokojnie, krokiem spacerowym.

MATKA Zawsze musimy być przygotowani. W każdej chwili mogą wejść i trzeba będzie uciekać. Boję się o ciebie, Leo. Wystarczy taka jasna noc, wycie psa...

Zresztą ciemnych nocy też się boję, boję się dni, słońca, deszczu, wszystko jest przeciwko mnie.

LEON W takim samym stopniu przeciw tobie jak przeciw mnie. Od pół wieku trzymasz mnie przy sobie, nie mogę ułożyć sobie życia normalnie. To groteskowe... Dorosły mężczyzna u boku matki.

MATKA To już nie potrwa długo. Czas pracuje na twoją korzyść.

LEON Mówisz tak od dziesięciu lat, codziennie. No, weź proszek, może zaśniesz... *(nalewa wody z dzbana do szklanki, podaje Matce razem z proszkiem nasennym)*

MATKA *(tyka proszek, nie pije wody. Wyciąga rękę ze szklanką w kierunku Leona)* Zapomniałeś o czymś. Obiecałeś. *(mówi głosem małej dziewczynki)* Myślałeś, że zapomnę?

LEON *(nalewa kieliszek wiśniówki i podaje jej)* Dużo pijesz.

MATKA Zanim stanę przed obliczem boskim, wytrzeźwieję. Już naprawdę niedługo, ale nie żałuj mi tych ostatnich godzin. Teraz, kiedy każdy dzień jest sukcesem kłęski, a każda noc jest kłęską sukcesu przeżytego dnia... Ty masz swoją muzykę, a ja mam tylko ciebie, Leo, tylko mojego małego Leonka... Moją prawdziwą chorobą nie jest paraliż nóg, jest nią sparaliżowany czas, zastygły na tamtych dniach. Każda sekunda oddala mnie od nich, każda minuta przybliża do niewiadomego. Tamto było straszne, ale przeszłe, a przeszłe jest poznane. Rozpamiętuję to, bo ocalałam. A ty, Leo, mówisz: pół wieku minęło. Co to jest pół wieku na rozpamiętywanie tylu niewiadomych, przecież ja muszę przewidywać wstecz każde niebezpieczeństwo, które mogło się zdarzyć, muszę myśleć o tym czego uniknęliśmy... *(poziwuje, mówi coraz wolniej, proszek nasenny zaczyna działać)* wędrując przez te nieskończone przestrzenie... Paraliż nóg był wyrokiem skazującym na myślenie... Och, Leon, jaka ja jestem tym udręczona i jaka nienasycona... *(zamyka oczy, otwiera je z wysiłkiem, sprawdzając, czy Leon jeszcze nie odszedł)*

LEON *(cicho, szeptem, uspokajająco)* Możesz spać spokojnie. Jestem przy tobie, nie bój się. Ciii, jest zupełny spokój, twoje powieki są już zmęczone, są takie ciężkie...

MATKA *(otwierając na chwilę oczy mówi przytomnie)* Wcale nie są ciężkie. Są lekkie jak papier.

LEON *(śmiejąc się razem z Matką)* Jesteś nieznośna. Zawsze musisz wszystko zepsuć. Masz tu swój prezent. Jutro rano, kiedy się obudzisz, zobaczysz, co to jest. No, śpij dobrze, idę się położyć, ledwo stoję na nogach. *(całuje Matkę w czoło i w oba policzki, otula ją kołdrą i wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi)*

AKT II

Scena 1

Duży pokój wyglądający na sypialnię małżeńską. Białe meble, podwójne łóże. Toaletka z lustrem w połączanej ramie. Na toalecie mnóstwo kosmetyków, perfum. Szafy otwarte. Na środku pokoju stoją spakowane walizki. Kobieta w futrze męczy się, usiłując zamknąć jedną z nich. Odwrócona jest tyłem do widowni. Kiedy do pokoju wchodzi Leon, kobieta unosi głowę, patrzy na niego. To Roza, która wygląda teraz zupełnie inaczej. Jej twarz w dyskretnym makijażu jest piękna choć skurczona bólem.

LEON Co się dzieje Roza?

ROZA *(prostuje się)* Mam znów na imię Ewa.

LEON Tak, czułem to. Wisało dziś w powietrzu. *(podchodzi blisko do Rozy)*

ROZA Wyjeżdżam, usuwam się, odchodzę. Co wolisz.

LEON Znowu?

ROZA Tym razem naprawdę. Powiedziałeś przecież: dziękuję ci, Roza, możesz odejść!

LEON Gramy w tę grę od dziesięciu lat, dlaczego chcesz odejść właśnie dzisiaj? *(usiłuje ją objąć)*

ROZA (*wyrywa się*) Dlaczego? Dlatego, że nie zrobiłam tego wczoraj. I dlatego, że nie chce mi się już grać w tej kiepskiej sztuce. Nie przewidziałam, że będę przez dziesięć lat grała w teatrze jednego aktora i dwóch widzów. Bulwarowe sztuki zawsze najdłużej utrzymują się na afiszu. To ty obsadziłeś mnie w tej bulwarowej tragedii pomyłek. To całkiem nowy, nieznany gatunek. Dzisiaj właśnie mija dziesiąta rocznica od dnia, w którym zaczęłam grać pielęgniarkę twojej matki. Akcja tej sztuki nie posuwa się do przodu, lecz cofa się o pół wieku ciągłym gadaniem twojej matki. Ja już nie mogę dłużej żyć waszą przeszłością. (*pochyla się i wyjmuje z walizki długą białą suknię. Pokazuje ją Leonowi, przykłada do siebie, potem mówi do Leona głosem zupełnie cichym i złamanym*) Czy ty w ogóle pamiętasz, kim ja byłam? Przestałeś pamiętać ze strachu, że twoja matka mogłaby coś zauważyć. Czy ty wyrzekłbyś się dla mnie swojej sztuki?

LEON Dlaczego miałbym się wyrzekać? O co ci chodzi? Zarabiam na tym świetnie. (*bierze z rąk Rozy suknię, wdycha jej zapach, zachowuje się tak, jak matka oglądająca ubranka Leona*) Oczywiście, że pamiętam tę suknię. Miałas ją na sobie wtedy. Dziesięć lat temu, kiedy przyszedłem do twojej garderoby. Pachnie!

ROZA Naftaliną. Tak, wtedy miałam na imię Ewa. To ubranko Ewy. Ewa grała Julię. To ubranko Ewy, a tamte, to ubranka Leona. (*mówi mechanicznie, nagle wyrywa Leonowi białą suknię, rzuca na ziemię i depcze ją z wściekłością*)

LEON O Boże, tego nie zniosę. (*zasłania twarz rękami*) Wszystko, tylko nie to. Całe szczęście, że wzięłam cię z teatru! Naprawdę Roza! Te przerysowane gesty! To fatalna scena, daj spokój.

ROZA Prawdziwa rozpacz jest dla ciebie teatrem! Zatrzymałeś się w uczuciach na poziomie czteroletniego dziecka, zastygłeś jak skamienielina, bo twoja matka tak chciała! Cholerny, czteroletni Leonek w swoich cholernych koszulkach i czapeczkach!

LEON (*unieruchamia ręce Rozy w swoich dłoniach; mówi patrząc jej w oczy*) Naprawdę Roza? Naprawdę? Sypiasz z czteroletnim dzieckiem! Pedofilka! No, pocałuj małego Leona, pocałuj! (*wyglupia się, usiłuje pocałować Rozę*) Ona kręci głowę, sama zaczyna się śmiać. Jest to jednak śmiech pomieszany z płaczem.

ROZA (*mówi stojąc sztywno w objęciach Leona*) Nienawidzę tego dziecka w tobie. To dziecko, którym jesteś tobie wystarcza, ale ja chcę mieć prawdziwe małe dziecko, rozumiesz? Możesz to pojąć, że kobieta chce mieć prawdziwe dziecko? Ty się boisz matki! Ona by tego nie przeżyła! Jej czas nadszedł, może nie przeżyć! Wiesz, czasami potykam się o pępownię, grubą jak pyton pępownię, która was łączy.

LEON (*wypuszcza Rozę z objęć*) Po co gadasz te głupoty. Wiesz dobrze, że nigdy nie odejdziesz. Ja wszystko pamiętam, Roza. Przyszedłem do twojej garderoby po spektaklu. Siedziałas z zamkniętymi oczami, zmęczona jak pies; w małej garderobie śmierdziało potem Romea, tego starego durnia...

ROZA Ja też pamiętam! Wszedłeś jak pan stworzenia. Szopenista wszechczasów, który nie znosi Chopina, wypchaj się i przestań pieprzyć o miłości! Sentymentalny bubek. Kochasz tylko swoją matkę i siebie! Pamiętam jak powiedziałeś: moja matka straciła czucie w nogach, Ewo, to już bardzo stara kobieta, nie możemy jej powiedzieć o naszym ślubie. Nie przeżyłaby tego. Więc tajemnica. Mały wiejski kościółek...

LEON Przecież chciałeś!

ROZA Pewnie, że chciałam. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata i byłam głupia. To wszystko było takie tajemnicze! Wspaniałe! Miało trwać najwyżej kilka miesięcy! Obiecywałeś mi to! (*z wściekłością rzuca białą suknię w twarz Leona*) On wygładza materiał sukni i wiesza ją na oparciu krzesła. Jest spokojny. W Rozę wstępuje furia. Zaczyna wyjmować rzeczy z walizek, rzuca nimi w Leona. Leon łapie je i odrzuca. Przez cały czas Roza krzyczy.

ROZA Matka uratowała ci życie, ale dlaczego ja mam spłacać twój dług wdzięczności! Ty jeździsz po świecie a ja siedzę tu, gram tego wiejskiego tłuka, porządną

wiejską dziewczynę, gram tę pieprzoną pielęgniarkę i opiekuję się twoją matką lepiej niż swoją własną... Zamiast zajmować się dzieckiem, które mogłoby już chodzić do szkoły, które mogliśmy mieć dziesięć lat temu.

LEON Przecież ja nie myślałem, że to tak długo potrwa. Czy chcesz, żebym ją zabił? Kochałem cię wtedy i teraz też cię kocham, z trudem...

Przez zamknięte drzwi dochodzi krzyk Matki.

MATKA Roza! Roza!

Roza zatyka uszy. Uspokaja się, przestaje rzucać czym popadnie. Pokój wygląda jak pobożowisko.

ROZA Wszyscy kochamy pielęgniarki swoich starych sparaliżowanych matek. Czy wygodnie pani, może przełożyć nogi? Czy nie uwiera panią prześcieradło? Tak, pan Leon jest wyjątkowo dobrym synem.

LEON Taka uprzejma byłaś tylko przez pierwszy rok. Potem nieźle jej dopiekałaś: siedzi pani cicho, albo zrobię zastrzyk w dupę. Myślisz, że nie słyszałem? Nie widziałem, jak wbijałaś jej igłę, zupełnie jak w świńską skórę? Nie rób teraz z siebie ofiary, dobrze wiesz, jaka jesteś i ja też wiem.

ROZA Musiałam zajmować się przez dziesięć lat tym, czego brzydzę się najbardziej, starym grubym cielskiem, krwią, bebechami, basenami, całym tym gównem, a do tego jeszcze wysłuchiwać wiecznego gadania... Nie, jeśli nie wezmą mnie anieli żywcem do nieba, to...

Krzyk Matki.

MATKA Roza! Roza, chodź tu natychmiast!

ROZA (*podchodzi do drzwi, uchyla je, wystawia głowę, krzyczy*) Zaraz idę! Zaraz! (*dalej już cicho do Leona, głosem zduszonym przez złość*) Pan Leon prosił, żeby pani nie budzić... Pan Leon to wyjątkowy spryciarz, proszę pani, zrobił ze mnie zdyscyplinowaną pielęgniarkę, upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu: w dzień spełniam wszelkie powinności przy pani a w nocy przy panu Leonie, bo pani nie wie, że pan Leon jest wyjątkowo lubieżnym synalkiem... Jego wyrafinowane, drogocenne palce obejmują oktawę wszystkich możliwych perwersji i zboczeń, oto, dlaczego codziennie rano mam podbite oczy i wyblakłe usta, proszę pani.

LEON Przecież ty to uwielbiasz!

ROZA Pójdę do niej i powiem jej to. Powiem, że przez dziesięć lat ją oszukiwałaś. Dziesięć lat samarytańskich dni i wyuzdanych nocy. Pan Leon ma wszystko, co chce mieć. Zaraz twoja matka się dowie, zanim umrze dowie się prawdy... Moje prawdziwe życie wśród ludzi zamieniłam na służbę w kostnicy. (*kieruje się ku drzwom*)

Leon zatrzymuje ją. W rękę trzyma kilka jedwabnych chust i szalików. Ciągnie Rozę na łóżko w głębi sceny. Roza krzyczy, Leon knebluje jej usta szalem, obwiązuje drugim, zdejmując z niej futro i zaczyna wiązać z dużą wprawą. Przewraca na łóżko, siada na niej. Widać tylko jego głowę i ramiona. Roza zastonięta jest oparciem łóżka. Bełkocze coś spod knebla.

LEON Nigdzie nie pójdziesz, ani do niej, ani nigdzie się stąd nie ruszysz. Co ty myślisz, że życie w teatrze, to coś dla ciebie? Jesteś na to zbyt delikatna. Nie dzisiaj, dziś masz swój dzień, twój mózg raz do roku dostaje menstruacji... Przetrzynamy i to. O teatr ci chodzi?

Roza bułgocze coś rozpaczliwie.

LEON Chwilczkę, o tego wyleniałego Romea, który w chwilach większej ekspresji musiał się pilnować, żeby nie zgubić sztucznej szczęki? Który wciskał się w ciebie w garderobie, pośpiesznie, żeby zdążyć jeszcze raz zanim straci potencję? Chyba że mna jest ci lepiej, nie oszukuj. (*porusza się miarowo, jak w czasie aktu, wyjmując knebel z ust Rozy, zamyka jej usta całując ją, znów unosi głowę, przyspieszone oddechy, mówi urywanym głosem*) Może myślisz, że do dziś grałabyś Julię! W tej samej sukni?

Jęk Rozy.

LEON Brak ci tych obmacujących spojrzeń z widowni? To nie dla ciebie, Roza, może inne aktorki to lubią, może Ewa to lubiła, ale ty nie, ty się tym brzydzisz..
Przyśpieszone oddechy.

LEON Już?

ROZA Jeszcze chwilę.

Leon znika za oparciem łóżka. Łóżko skrzypi potwornie. Roza chichocze, potem jęki obojga i zupełna cisza. Rozmawiają teraz cicho, intymnie, nie widząc ich zza oparcia łóżka.

LEON Dobrze ci było?

ROZA Mhmm. *(mruczy)* Było. Było.

LEON Chcesz jeszcze? Wykończysz mnie!

ROZA Nie tak. Teraz tak.

LEON Ty ją lubisz. Ja wiem, że ty ją lubisz, mimo że jest niezdolna. Ale ona jest człowiekiem. I ty to czujesz. W dzień jesteś wciągnięta w misterium umierania i przeszłych lęków, a w nocy masz wszystko, co lubisz, to mało? A że wyrzekłaś się papugowania cudzych wnętrz? To dobrze dla ciebie... *(jęknął z bólu)* Nie gryź.
Krzyk Matki.

MATKA Roza! Umieram!

ROZA Rozwiąż mnie szybko! Muszę lecieć do niej.

LEON *(rozwiązuje Rozę)* Nie umiera. Gdyby czuła, że umiera naprawdę zawołałaby mnie.

Roza szybko doprowadza się do porządku, przygładza włosy, narzuca fartuch pielęgniarski, czepiec, wybiega. Leon sam w pokoju. Siada na łóżku. Przeciąga się powoli, wstaje, podnosi suknię Rozy, tę, w której grała Julię, zarzuca ją na ramię, chodzi z nią po pokoju szukając czegoś w szafie, w szufladach, znajduje młotek i gwoździe. Przybija suknię Rozy do ściany. Krzyżuje ją niejako. Jeden gwoździe w jeden rękaw, drugi gwoździe w drugi rękaw, trzeci w dół sukni, która odchyła się, „wychodzi ze ściany”. Leon odsuwa się i z pewnej odległości ocenia swoje dzieło, przybite nad łóżkiem. Potem wiesza futro Rozy w szafie, robi porządek w pokoju. Waltzki umieszcza na półkach i pawlaczach, wreszcie rozsuwa drzwi do sąsiedniego pokoju, w którym stoi biały Bechstein. Siada przy fortepianie i gra koncert fortepianowy fis-moll Skriabina.

Scena 2

Jest noc. Tylko poświata księżycowa oświeśla pokój. Matka śpi na łóżku. Okno tarasowe na oścież otwarte. Zupełna cisza. Matka oddycha chrapliwie. Zza okna słychać astmatyczny kaszel. Chwila ciszy i znów ciężki oddech Matki. Teraz ciszę przecina ostry dźwięk dzwonka roweru. Matka budzi się. Siada na łóżku, zapala lampę. Obejmuje ją krąg światła.

MATKA Ani zegara, ani kalendarza. Nic nie wiadomo, tyle tylko, że jest noc a ja jeszcze żyję. To i tak aż nadto szczęścia. *(patrzy na sakwojaż z prezentem. Wychyla się z łóżka. Nie może sięgnąć)* Świetnie ją ustawił. Nie ma co, egoista! Sama go tak wychowałam.

Matka z wysiłkiem zsuwa się na podłogę, ciągnąc za sobą swój odwłok. Pada ciężko. Z dudnieniem. Sięga po sakwojaż. Wyjmuje z niego wielkie, podłużne pudło. Czarne, plastikowe, forma pośrednia między futerałem do skrzypiec a trumienką dziecięcą).

MATKA *(pod nosem, do siebie)* Niespodzianka! Co to jest? Trumienka czy co? Może skrzypce? Leo zwariował... Zaraz, jest nalepka, nie widzę, co tu napisane. Jako suki jaki, nazwa firmy, jestem tak samo mądra jak przedtem... Japońska tandeta, co oni teraz widzą w tej Japonii, wszystko japońskie. *(mocuje się z otwarciem tego dziwnego futerału)* No, dalej. *(otwiera wieko pudła)* Oooch, o Boże! *Matka wyjmuje z pudła lalkę wielkości czteroletniego dziecka, z wielką czupryną czarnych wijących się włosów. Na plecach gołej lalki widać guziki. Kiedy Matka obraca lalkę twarzą do widowni, okazuje się, że kukła ma starą twarz Leona.*

MATKA Leonek! Mały Leonek! Jak żywy! Ciekawe ile to musiało kosztować, z pewnością zrobione na zamówienie... Jaki podobny! Tamten Leonek! (*naciska guziki na plecach kukły*)

KUKŁA (*woła*) Mami, mami! Tati, tati! (*śmieje się i płacze na przemian*)

MATKA Nie płacz, nie płacz, mój malutki biedny Leonek, golusieńkie dzieciątko, zaraz ubierzemy... (*sięga pod łóżko, wydobywa stamtąd kufer z rzeczami Leonka i ubiera w nie kukiełkę. Przy ubieraniu kukła płacze*) Głodny biedaczek, zaraz dostaniesz mleczka. (*udaje, że karmi kukłę piersią*)

Jest cicho, uspokojone dziecko przestaje płakać. Matka w zamyśleniu patrzy w przestrzeń za oknem. Słychać stamtąd kaszel, tym razem całkiem blisko. Po chwili, gdy Matka zastyga w zgrozie – dzwonek roweru.

MATKA Cicho, Leonku, teraz nie wolno ci płakać, kto to może chodzić po nocy, z pewnością po nas idą. (*w panice czołga się z kukłą pod łóżko. Chce się ukryć*) Kaszel przybliży się, dzwonek roweru słychać już jakby w pokoju. Po chwili rumor żelastwa. W drzwiach ukazuje się starzec z długimi siwymi włosami wystającymi spod cyklistówki z daszkiem. Na nosie ma okulary o szklach splekanych w gwiazdy. Pumpy i marynarka w strzępach dopełniają stroju, w którym można rozpoznać elegancki ubiór z portretu. Starzec prowadzi rower, zardzewiały, rozpadający się wehikuł. Włosy posklejane krwią, twarz podrapana, nogi zawinięte onucami, buty przewieszane przez ramię. Przy tym wszystkim porusza się rzeško, mimo że słabo widzi. Tak wygląda ojciec Leona, Dawid. Gra go ten sam aktor, który grał Leona. Matka zastyga na podłodze jak owad czujący niebezpieczeństwo. Zasłania kukłę-Leonka. Żegna się raz po raz znakiem krzyża i modli bezgłośnie. Przyciśnięta lalka zaczyna kwilić. Matka zamyka jej buzię dłonią, zupełnie jakby wierzyła, że to jest żywe dziecko. Stary kaszle.

DAWID Jesteście tu? Przecież słyszę płacz Leonka. Nic nie widzę przez te okulary... Dawid błądzi po omacku, ledwo widząc, natrafia na ścianę, opiera o nią rower, robi kilka kroków, cofa się, opuszcza okulary na nos i patrzy znad nich na pokój. Znow zakłada okulary, wciąż nie widząc Matki i Leonka. Niepewnymi, lecz dość szybkimi krokami przemierza pokój, aż w końcu potyka się o Matkę, która wczłogała się prawie pod łóżko. Traci równowagę, pada przy Matce.

DAWID Aaa, jednak jesteście! Dobrze trafiłem, krążyłem tu od dawna. Słyszałem twój głos, nie mogłem się pomylić. Często mówisz o mnie. To ja, Dawid, nie poznajesz mnie? (*kaszle, głos ma zachrypnięty, drżący, ale mówi szybko i rzeško. Zaciera ręce*) Matka patrzy na niego bojaźliwie, usiłuje się odsunąć, ale nie może już głębiej wpełznąć pod łóżko.

DAWID Co za chłód! Niby środek lata, ale w powietrzu przejmujący chłód. (*wyciąga rękę w kierunku Matki*) Przywitaj się ze mną chociaż, nawet nie ucałujesz mnie, nie obejmiesz?

MATKA Nie nie, nie wierzę, że to ty. To oszustwo. Teraz? Ty teraz? To wykluczone.

DAWID (*zaczyna odwijać onuce, syczy z bólu*) Ropieje... Tak długo wędrowałem, tyle kroków, rower już kiepski, tamten mi ukradli... Tyle kroków do ciebie szedłem, a ty nie chcesz uwierzyć, że to ja, popatrz w moje oczy, spójrz, poznajesz teraz? (*zdejmuje okulary, wystawia twarz w kierunku Matki*)

MATKA (*z lękiem ale i z ciekawością patrzy w jego oczy*) Dawid miał ciemne, fiołkowe oczy, a ty masz takie wodniste... Czy ja wiem? Nie nie. Dawid miał ciemne oczy.

DAWID Świecili mi w oczy całymi godzinami, żeby dowiedzieć się, jak się nazywam. Masz pojęcie? Zamiast raz zapytać i zapisać nazwisko, w kółko to samo... Światło w oczy i pytanie. Dlatego spłowiąły... Reszta koloru wyciekła, kiedy wędrowałem w słońcu przez te wielkie pustynie... Mogę ci udowodnić, że jestem Dawidem, znam całe twoje życie... Zostałaś sama z Leonkiem, kiedy poszedłem zwiedzić grób Tamerlana... Nic się nie zmieniłaś i Leonek nic się nie zmienił, (*chce pogłaskać kukłę, ale Matka chroni ją przed tym*) nic się nie zmienił, a wydawało mi się, że tak długo wędruję, a to była tylko chwila. Widać czas cierpienia tak się wydłuża...

MATKA Minęło bez mała pół wieku.

DAWID Pół wieku? Pół wieku wędrowałem, żeby dotrzeć do tej ziemi i do was. Tak tak. To pępownina z ojczyzną nie przegryziona prowadziła mnie jak nić Ariadny. Minęło pół wieku, a wyście jakby zastygli czekając na mnie. Jak to możliwe? Pół wieku? Niewyobrażalne.

MATKA Tak. Teraz cię poznaję. Niewyobrażalne! To twoje słowo...

DAWID Ja szedłem przez cały czas uciekając, przez cały czas szedłem do ciebie i do małego Leonka. To Bóg winien. Nie ostrzegł mnie, że czas tak pędzi. Zegarek zabrali mi od razu. *(śmieje się)* Ale ja Bogu odpuszczam, wybaczam mu wszystko, bo was znalazłem, chociaż tak mało czasu zostało do śmierci, ale cóż śmierć dla Boga, nie zna jej.

MATKA Nie bluźnij. Bóg, tak samo jak człowiek, swojej śmierci nie zna, zna tylko tych, co umarli, nie czas teraz na porachunki z Bogiem. Nie wiem nawet, czy ty to ty jesteś, czy oszust sprytny. Może co wyłudzić chcesz? Może cię nasłali...

DAWID Grób Tamerlana zwiedzałem.

MATKA A możesz ty morderca? Możesz ty Dawida zabił, jego rower zabrał i jego strój włożył? Wiele się o takich rzeczach słyszało.

DAWID Daj spokój, ja tylko powrotem do was żyłem. Dlatego przetrwałem i dlatego, że wyć się nauczyłem. Posłuchaj tylko, posłuchaj. *(unosí głowę w stronę okna, wysuwa brodę do przodu i zaczyna wyć przeraźliwie)*

MATKA *(tuli małego Leonka, który zaczyna płakać)* Przestań, przestań już! Leonka obudziłeś.

DAWID No więc to jest w końcu Leonek, czy nie jest?

MATKA I jest i nie jest.

DAWID Twoja logika. I jest i nie jest. Paradne!

MATKA Nie kłóć się, ledwo przyjechałeś, już zaczynasz swoje.

DAWID *(pochyla się nad kukłą. Dotyka jej)* Przecież to kukła, przyznaję, że pięknie odrobiona.

MATKA Kukła nie kukła, to przecież Leonek. Sam widzisz jaki wrażliwy. Obudziłeś go tym wyciem. Jest jak żywy, mnie to wystarczy. *(nagle olśniona)* Słuchaj! A możesz ty też sztuczny? Pokaż no plecy, może masz tam jakiś mechanizm? *Ojciec posłusznie nadstawia plecy.*

MATKA *(odrywa od nich przyschniętą koszulę)* O Boże miłosierny! Czego nic nie mówisz! Jak strasznie się paskudzi! Jedna wielka rana! Boże mój, Dawid! Oni cię bili! Powiedz, bili cię!

DAWID Bili.

MATKA Którzy?

DAWID Wszyscy po kolei.

MATKA Trzeba to umyć. Przebacz mi Dawidzie. Nikomu nie wierzę, tyle razy mnie oszukali, że sama zaczęłam oszukiwać. *(całuje poranione plecy Dawida)*

DAWID Co za ulga. Gdyby nie wycie, nie przeżyłbym. Tam naród dla psów bardziej litościwy niż dla ludzi, bo pies cię nie wyda...

MATKA Jak masz pecha to i pies cię wyda. *(bierze spod poduchy swoją białą chustkę, polewa ją wodą ze szklanki stojącej na stoliczku i delikatnie zmywa plecy Dawida)*

DAWID W krzakach wyłem i zdarzało się, że ktoś kawał spleśniałego chleba rzucił. To mój fortel. Psi fortel. *(śmieje się i kaszle)* I dlatego tu jestem a ci co tylko ludźmi byli leżą gdzieś w dołach. Jeden fałszywy krok a byłbym zgubiony...

MATKA To cud, że żyjesz...

DAWID Tylko nocami chodziłem, zapomniałem o głodzie i pragnieniu...

MATKA Pewnie głodny! Weź pomarańczę.

Dawid rzuca się na pomarańczę. Gryzie ją razem ze skórką. Pokazuje widowni plecy pokryte sinymi pręgami i krwawymi ranami. Kukła zaczyna się śmiać.

MATKA Jak można jeść tak łapczywie, ze skórką. Nie widzisz, że dziecko patrzy, nauczy się nieodpowiednich manier... Daj, obiorę ci. To dobre na pierwszy posiłek po głodzie, lekkostrawne.

Dawid niechętnie oddaje owoc. Matka obiera, wkłada mu do ust cząsteczki. Tak samo jak robiła to Roza.

DAWID A ty, Leonku, nie śmieję się z ojca, bo to grzech.

MATKA On jeszcze za mały, żeby grzeszyć.

Siedzą chwilę w milczeniu. Dawid żuje owoc. Pochylił głowę.

MATKA No to opowiadaj, coś tam na tym grobie Tamerlana zobaczył.

DAWID Co ja zobaczyłem, to nieważne. Ważniejsze, że oni mnie tam zobaczyli. *(śmieje się kaszląc chrapliwie)*

MATKA Przecież ci mówiłam. W pumpach! Tam u nich! I jeszcze do tego ta czapka z daszkiem!

DAWID *(zdejmuje czapkę, podaje ją Matce)* Chroniła mi głowę. Paliło niemiłosiernie. Staralem się w nocy, ale czasami... Te przestrzenie, te pustynie... Co po drodze widziałem, nie do opisania. Widziałem wszystko. Nawet swój grób. Sam go wykopałem, ale jednak uciekłem. *(mówi to z przechwałką w głosie)*

MATKA Niemożliwe, inni nikt nie ucieknę.

DAWID Żywy nie. Spod stosu trupów uciekłem. Zwłok nie liczyli. Myśleli, że jestem martwy... *(śmieje się)*

Śmiech przechodzi w straszny atak kaszlu. Dawid krztusi się, macha rękami, zrywa się z miejsca i podbiega do otwartego okna tarasowego, oddycha głęboko.

MATKA Podnieś ręce do góry!

DAWID *(jeszcze przez kaszel)* A co, chcesz mnie rozstrzelać?

MATKA Och, Dawid, czy ty ze wszystkiego musisz się śmiać?

Dawid uspokaja się, oddycha głęboko. Kiedy zaczyna mówić, mówi trochę serio, trochę pompastycznie, jakby sam siebie kontrapunktował. Chodzi po pokoju.

DAWID Wszystkie nacje sprzysięgły się, żeby mnie zabić. Lecz oto jestem, ja, inteligent w siódmym pokoleniu, najsłabszy ze słabych, te wszystkie chłopcy jak dęby, te tury, wszystko tam martwe zostało, a ja jestem. Uciekałem przed wrogami a wpadłem w ręce przyjaciół. To było najgorsze. *(znów śmiech)* Uciekałem, uciekałem, trochę szedłem, jechałem, kiedy mogłem... Widzisz ten rower! To nie jest ten sam. Mój ukradli, więc ja też ukradłem. Rowery mają tam mocne. Zobacz, jeszcze jeździ. *(wsiada na rower i zaczyna jeździć w kółko po pokoju)*

MATKA Tak tak, to jesteś ty. Nie do uwierzenia. Prawdziwy Dawid.

Dawid podzwania dzwonkiem roweru. To ten sam dzwonek, który słyhać było za oknem. Kukła śmieje się. Matka śmieje się także.

DAWID *(mówi jeżdżąc)* Ten rower to klęska w wymiarze moralnym. Ukradłem. Mój ukradli, to i ja ukradłem. Sprzeniewierzyłem się zasadom swoich rodziców. Na wojnie i w niewoli inne prawa obowiązują. Zasady, och tak. Ja wiem, że lepiej być ofiarą niż katem, lepiej dać się zabić niż samemu zabijać... Ale ja tylko ukradłem. Przysięgam na dym z moich rodziców, że nikogo nie zabiłem. *(zsiada z roweru, opiera go o ścianę)*

MATKA To cud, że takie coś jeździ.

DAWID Przerdzewiał trochę, rozpadał się, więc powiązałem go sznurkiem. Służył mi dobrze, mój skrzypiący rumak. *(głaszcze rower. Drży z zimna, zaczyna szczekać zębami)*

MATKA Możeś ty chory, może co zaraźliwego stamtąd przywlokłeś? U nich ospa tak jak u nas katar. Pokaż, czyś nie dziobaty? Nie o sobie myślę, tylko o Leonku.

DAWID Nie, to tylko ten wilgotny chłód.

MATKA Pomóż mi dostać się do łóżka. Nogi mam bezwładne, ale jestem ciepła, to cię ogrzeje.

DAWID Zawsze byłaś ciepła jak ruski piec. Co z tymi nogami?

MATKA Nie wiem. Już tylko tak mogłam Leona zatrzymać.

Dawid jest słaby, podsadza Matkę na łóżko, ona wdrapuje się na rękach. Z wysiłkiem podciąga się, Dawid popycha ją, podsadza. Wreszcie Matka leży na łóżku z Leonkiem w ramionach. Dawid kładzie się obok, drżąc i dzwoniąc zębami. Matka otula go po samą szyję kołdrą. Naciska mechanizm kukły, która mówi swoje.

KUKŁA Mami! Mami! Tati! Tati!

MATKA (*ucisza ją karmieniem*) Nie szanuje mojego snu. Zawsze pije w nocy. I gryzie, ma już mocne zęby. (*syczy z bólu*) Nie wolno! Leonek! Bo dam ci klapsa!

DAWID Ja też jestem stale głodny.

MATKA (*sięga pod poduchę. Wyciąga kawał suchego chleba. Daje Dawidowi*) Zawsze mam coś na czarną godzinę.

DAWID (*chrupie głośno. Zakłada rozbite okulary na czoło. Siada na łóżku*) Zawsze fascynowała mnie nieskończoność. Rower i okulary w pewnym sensie przypominały mi o nieskończoności. Nieskończoność pochłaniała mnie, zanim jeszcze rozpocząłem wędrówkę. Chroniłem okulary, chroniłem rower. Szklą popękały. Widzisz jak gwiazdździeć?

MATKA Zaczekaj... Gwiazdziste pęknięcie? To dziwne, ja wczoraj o tym myślałam. Powiedz mi, Dawid, czy kiedy czas zamieni się w gwiazdę, czy wtedy umrzemy? A może wtedy urodzę się znowu? Straszna pustka, zabijam ją gadaniem... Zadręczam wszystkich.

DAWID Tylko strach zabija pustkę. Ja w strachu pustki nie czułem i cały czas o was myślałem.

Matka uklada Leonka do snu. Kładzie palec na ustach.

DAWID (*mówi ciszej*) Przytul się do mnie, zobaczysz, że pustkę zgubisz.

Matka przytula się do Dawida. Oplata go rozpaczliwie ramionami. Leżą tak spleceni.

MATKA Chociaż parę chwil przed śmiercią, nareszcie mam was wszystkich, ciebie, małego Leonka i Leona.

DAWID Pomyśl, co łączy ludzi? Odrzucamy to, co inne, zostawiamy to, co takie same, a wiesz, co wtedy zostanie?

MATKA Nie mam pojęcia, co znów wymyśliłeś.

DAWID Zostaną tylko narodziny i śmierć. Łączy nas zatem tylko to, co niepamiętane i nieznanne. I ty się dziwisz, że skazani jesteśmy na samotność? Jeżeli jedynym łącznikiem ludzi jest to, co niedostępne? Czasem tylko, czasami, bardzo rzadko, zdarza się taka chwila, jak dzisiaj, kiedy łączy nas trzecia siła: miłość, rozumiesz? Biedna ludzka miłość.

MATKA Co ty mówisz, Dawidzie, ty, zimny racjonalista, inteligent w siódmym pokoleniu... Zawsze wyśmiewałeś się z tego, co nie daje się zmierzyć, a teraz mówisz: miłość! (*znów daje Dawidowi kawał chleba i sama także zaczyna chrupać*)

DAWID Możesz nie wierzyć, ale ja nie przestałem kochać. Ja kocham nawet swój rower. Dawno powinienem go wyrzucić, ale nie zrobię tego. Uratował mi życie. Są ludzie, którzy nie zabijają okulałego konia. Chłubię się tym, że do nich należę. A że to stary zardzewiały rower? No to co z tego? Był ze mną, kiedy nie miałem nikogo. Nie mogłem mieć przyjaciół, tyle razy mnie zawiedli, tyle razy wydali... Ja ich nie winię, w mękach mówi się wszystko...

MATKA Tak tak, lepiej nie wiedzieć, zawsze mówię, że lepiej nic nie wiedzieć. (*zapala papierosa, podaje także Dawidowi, zapala mu*)

DAWID Nie mogłem się przyzwyczaić do tego judaszowego modus vivendi, ale u nich to powszechne. Każdy musi kogoś wydać, bo każdy jest przez kogoś wydany. Tak się toczy ta judaszowa karuzela, ludzi moc, wciąż rodzą się nowi, torturujący wkrótce są torturowani, a ci co wieszają, będą powieszani... Takie są przykazania ich nowej religii. (*kasze*)

MATKA Lepiej nawet o tym nie myśleć. Najważniejsze, że znów jesteśmy wszyscy razem. Nie możesz za wiele mówić. Kaszlesz od tego.

DAWID (*nie słuchając słów Matki*) Przez tyle czasu nie mieć wokół siebie nikogo, komu możesz zaufać... To śmierć. Wieszają i wieszają. Szubieniczne pokolenia Tamerlana. Potem i wieszać, i strzelać przestali, bo za drogo. Zamrażać zaczęli na trzydziestostopniowym mrozie.

MATKA Przestań o tym mówić, bo zimno się robi od samych słów, ja też to widziałam i Leonek widział... (*głaszcze kukłę*) Możesz spać spokojnie. Ojciec wrócił.

DAWID (*zaciąga się błogo*) Pierwszy prawdziwy papieros od niepamiętnych czasów...

Mówię ci, że kiedy psa udawałem, poznałem dobrze ten świat i jego dzieci. Rower i okulary dały mi pojęcie o niewolnych wyzwoleniach, przemierzałem niekończące się drogi w niekończących się dniach i nocach, budząc się z nadzieją i zasypiając bez niej... Jak wieczny tułacz byłem wszędzie, widziałem wszystko, całe zło i całą rozpacz, i powiem ci, że chciałbym widzieć już samo dobro. Tęsknię do sentymentalnego dobra. Wyzbyłem się egoizmu. Nie mam nic i nie chcę nic. Mam kaleki rower i popękane okulary. To pamiątki mojej wędrówki i świadectwa istnienia. *(kaszle)*

MATKA Zawsze miałeś wrażliwe gardło. Za dużo gadasz. Zgaś papierosa, dym ci szkodzi.

Oboje gaszą papierosy o poręcz łóżka i wyrzucają pety na podłogę.

DAWID A komu mam powiedzieć, jak nie tobie, co? Jestem do tych rzeczy przywiązany, a one przywiązane są do mnie. Przywiązane dosłownie. Poznajesz tę gumkę? *(pokazuje)* Zbierałaś nią włosy przy karmieniu Leonka, dzięki tej gumce okulary trzymały się na mojej głowie. *(podaje Matce gumkę, ona ściąga nią włosy do tyłu)* A rzemysł poznajesz?

MATKA A jak myślisz? Prowadzaliśmy na nim Leonka, kiedy uczył się chodzić...

DAWID Przytracałem się nim do roweru, mogłem wtedy kilometrami jechać, śpiąc czujnie, na siodełku jak na koniu, nigdy się nie przewracałem. Nic nie mogę dla niego zrobić. Mogę go tylko naoliwić, będzie mu z pewnością lżej, kiedy posmaruję jego zardzewiałą blachę łagodną oliwą...

MATKA Jutro to zrobisz, już nie dzisiaj. Mam oliwkę dla Leonka, dam ci trochę... Czuję, że wreszcie się trochę rozgrzałeś.

DAWID Wprost trudno uwierzyć w ciepło swoich własnych nóg, kiedy stopy miało się zawsze skostniałe z zimna. Wszędzie już byłem i nigdzie się stąd nie ruszę. Nigdy już nie odejdę. Zwiedzać grób Tamerlana? To wydaje się teraz niedorzeczne.

MATKA Wspaniała jest taka bezpieczna, zwierzęca starość. Starcze ciepło.

DAWID Kurza pomieszana pamięć... To pomieszanie pozwala żyć... Jak tyś to powiedziała? Że śmierć to chwila zamieniona w gwiazdę? Tak, mogę to przyjąć, to pomysł na śmierć. Każdy będzie miał swoją gwiazdę...

Znów tulą się do siebie rozpaczliwie, jak para zagubionych dzieci.

MATKA Nie jestem już taka młoda, minęło pół wieku odkąd przestałam przytulać się do ciebie. Tam pewnie były jakieś kobiety.

DAWID Może i były jakieś kobiety, bez znaczenia, bez znaczenia, może i która dała jakąś kość do ogryzienia... Jesteśmy teraz u siebie w swoim łóżku, w naszym domu...

MATKA Oj, Dawid, coś mi się wydaje, że już na wszystko jest za późno. Jesteśmy zmarnowani, wypaleni jak puste skorupy. Jeszcze tylko trochę duszy zostało.

DAWID Trochę duszy to mało? To wszystko. Gdybyś tak wędrowała przez pół świata i widziała tę potężną masę złożoną z pojedynczych słabości, ale w tłumie zwartą, silną i gotową na każdy mord, wtedy nie mówiłabyś, że trochę duszy to mało – to wszystko.

Matka zaczyna mruczeć kołysankę, śpiewa głębokim niskim głosem.

MATKA *(śpiewnie)* Ciepło ci coraz cieplej... Ciepło wchodzi ci w nogi. Zaczynasz myśleć ciepło... *(znów śpiewa)*

DAWID *(pół śpiąc)* Sen morzy mnie jak cukier morzy ostrą cebulę. Nareszcie sen sentymentalny mnie morzy...

MATKA Pamiętasz kołysankę dla Leonka?

Mruczą razem.

DAWID Ta przeklęta kołysanka wypełniała mi głowę i kołysała mnie podczas jazdy na rowerze... Gasła czujność. To tak trudno uwierzyć w cokolwiek. Chwila wytchnienia przed rzezią, oto nasze... *(zasypia w pół zdania)*

MATKA *(kończy kwestię Dawida)* ... Życie. Amen. Podziękujemy za tę jedną chwilę Bogu. Modłę się przed nocą zawsze... Jak nie zapominam...

Dawid we śnie trzepie rękami jakby miał zamiar odlecieć, tak jak ptak trzepoce skrzydłami.

MATKA Śpij, śpij. Nie odlatuj. Znam te marzenia: odlecieć wysoko! Sięgną cię w powietrzu, lepiej już siedzieć w norze, w ziemi... Przynajmniej się nie spada. (głaszcze policzki starego, kładzie Leonka pośrodku, między ojcem a sobą. Obejmuje ich obu i przygarnia do siebie) Trudno nie wierzyć, trudno wierzyć. Ważna jest ta chwila zamieniona w gwiazdę. Boże, choć cię nie pojmuję (modli się szeptem) jednak nad wszystko miłuję, nad wszystko co jest stworzone, boś ty dobro nieskończone... Nieskończone... Nieskończone dobro. (całuje w czoło Leonka i Dawida. Poprawia kołdrę, kładzie się na wznak obok Dawida. Wyciąga rękę. Gasi światło)

Pokój wypełniony jest różowym brzaskiem. W świetlistej poświacie wschodzącego słońca, widać trzy postaci leżące na łóżku, przeplecione uściskiem, jakby śmiertelnym. Głowy Matki i Dawida odrzucone do tyłu. Ciężkie, zmęczone oddechy. Delikatnie dzwoni dzwonek rowerowy. Lalka-Leonek siada na łóżku. Zaczyna żałośnie kwilić. Przez zamknięte drzwi dochodzi dźwięk fortepianu. Koncert fortepianowy Skriabina. Lalka nagle przestaje płakać. Pada na wznak jak zepsuty mechanizm. Fortepian milknie. Oddechy uspokajają się.

Jest zupełna, przejmująca cisza. W tej ciszy z bardzo bliska słychać śpiew pierwszego ptaka. Pokój zaczyna się rozjaśniać. Stopniowo wszystko bieleje.

Do pokoju wchodzi Roza w śnieżnobiałym fartuchu i czepku. Jej włosy i twarz także są białe. Niesie białą tacę, na której stoi biały dzbanek, białe talerzyki, białą filiżanka i biała cukiernica. Roza przechodzi przez pokój. Potyka się o rower. Stawia tacę na stoliku. Podchodzi do okna tarasowego. Otwiera je na oścież. Pokój zalewa jasność, w której topi się wszystko. Jasność nasila się. Nie widać już nic, prócz oślepiającej jasności coraz jaśniej jaśniejjącej.

Koniec